



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
 Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

W DZIEŃ POCHMURNY.

Czemuś to, słoneczko złote
 Skryło lice za chmury,
 I na naszą, na robotę,
 Wzrok swój rzucasz ponury?
 Czyż nie miłe ci to ziarno,
 Co wśród troski rzucamy,
 Czemuż nad tą ziemią czarną
 Zwisłość smutno chmurami?
 Czy się gniewasz na pieśni,
 Co ze łzami wciąż płyną;
 Czy ze szczęścia nikt nie śni,
 Drząc przed smutku godziną?
 Ach! tem szczęściem uśmiechy
 Twoich złotych promieni,
 Z niemi płyną pociechy,
 Z niemi złe się odmieni...
 Bo gdy słońko ogrzeje,
 Ziarno wszędzie zielone,
 Wskrzesi w sercach nadzieję,
 A z nią pieśni natchnione.

Z. Morawska.

WSPOMNIENIA Z WAKACYJ,

Z DZIENNIKA MŁODEJ DZIEWCZYNY,
 spisała Br. Kuczyńska.

(Dokończenie).

Lublin i Sławinek.

Pięknie się przedstawia Lublin od strony dworca kolei, tyle już razy podziwiałam ten widok z daleka, szczerze się też cieszyłam, iż nareszcie zwiedzę to miasto. Mieliśmy tu spędzić i dzień następny, a że jeszcze do wieczora czasu było dużo, bo o godzinie drugiej już przybyliśmy do hotelu, więc po chwilowym tam pobycie, koniecznym dla spożycia obiadu, wyruszyliśmy na miasto, kierując się najprzód ku dawnej części.

Lublin, tak jak i wszystkie dawne miasta, był niegdyś opasany murem, pozostałe trzy bramy świadczą, iż mury te musiały być potężne, jeżeli potrzebowały takich bram olbrzymich. Dwie z nich, grodzka i krakowska, zbliżone są do siebie, czarne i brudne mury nie przedstawiają się wspaniale, tylko imponują wielkością swoją. Na jednej z nich umieszczony jest blaszany kogut, z dołu wydaje się maleńki, lecz w rzeczywistości ma być tak duży, iż może pomieścić w sobie dwa korce pszenicy. Ulice poza bramami są wąskie, dosyć kręte i mają starodawną cechę; dalej za temi dwiema bramami znajduje się trzecia, a za nią rozciąga się dzielnica żydowska. Powietrze dziwnie duszne, bo ulice jeszcze węż-

sze, nie pozwoliło nam w głąb się zapuszczać, nie ma też tam nic ciekawego. Zamek leży wprawdzie po tamtej stronie, lecz teraz zupełnie inaczej wygląda, na więzienie przeznaczony, i zwiedzać go nie można.

Dzień był bardzo upalny, więc wydobywszy się copędzj z dusznych ulic, udaliśmy się powoli przez wspaniałą nowożytną ulicę, Krakowskie przedmieście do Ogrodu Saskiego. Mogło nam się zdawać przez chwilę, iż jesteśmy w Warszawie, sądząc z tych nazw, ale złudzenie nie mogłoby trwać długo, bo jakkolwiek ogród warszawski przewyższa lubelski pod względem utrzymania, jednak co do położenia i obszaru o wiele niżej stoi. Cieniste aleje, wzgórza, brzozy lasek, urozmaicają go niezmiernie. Przebiegliśmy w rozmaitych kierunkach śliczny ten ogród, potem usiedliśmy na ławeczce, rozkoszując się ciszą, wonią jaśminów i świeżem powietrzem, napływającym zewsząd z otaczających pól i sadów.

Około godziny siódmej, gdy już ochłodziło, odbyliśmy małą wycieczkę dorożką do Sławinka, gdzie podobnie jak w Nałęczowie istnieje zakład hydropatyczny i kąpiele żelazne. Starannie i tutaj wszystko to urządzone, a nawet podobno w wodzie tutejszej więcej jest żelaza, ale miejscowość nie jest taka piękna. Spotykaliśmy jednak dość liczne gromadki osób, przybyłych tu na kuracyę. W restauracyi tutejszej zjedliśmy wieszczę i przed dziesiątą byliśmy już z powrotem. W mig przebyliśmy tę drogę, bo Sławinek od Lublina zaledwie o trzy wiorsty jest oddalony. Podobno w niedzielę szosa roi się od jezdnych i pieszych, śpieszących tam na muzykę i przyjemną przechadzkę.

Przyznaję, że bardzo byłam tego dnia zmęczona i chętnie poszłam spać, choć przesliczna, jasna noc zachęcała do przechadzki. Przed zaśnięciem przypomnieliśmy sobie różne dziejowe chwile, dotyczące się Lublina, wielce ważnych uroczystości był on świądkiem; pomnik, stojący obecnie w ogrodzie gubernatora, jest jedną z takich chwil pamiątką, przyglądaliśmy mu się przez kraty, bo wewnątrz dostać się trudno.

Nazajutrz rano miałyśmy wielką jeszcze ochotę przedłużenia snu, ale pokojowa oznajmiła nam, iż „pan prosi, aby panienki się pośpieszyły, bo potem zamkną katedrę”. A że nam bardzo o to chodziło, aby wewnątrz starożytnej świątyni zwiedzić i w dziwnie akustycznej zakrystyi porozmawiać, więc zerwawszy się prędko, znów za kwadrans byliśmy gotowe i z czekającym na nas na korytarzu ojczulkiem pośpieszyliśmy na śniadanie, a następnie wprost do katedry.

Pięknie i wspaniale przedstawia się ta przedwiekowa świątynia, wchodzi się do niej z mimowolnem uszanowaniem dla wspomnień, które tłumnie nasuwają się pamięci. Po zwiedzeniu kościoła, udaliśmy się do zakrystyana z prośbą, aby nas zaprowadził do owej słynnej sali. Nazywają ją po polsku „zakrystyą”, ale niesłusznie, ponieważ znajduje się właśnie za nią i służy obecnie do przechowywania ornatów i aparatów kościelnych, które obecnie pozawieszane były na sznurach, poprzeciąganych przez środek, zapewne dla przewietrzenia. Były między niemi tak ciężkie, złotem haftowane, że chyba żaden z teraźniejszych księży udźwignąłby tego nie mógł. Sala więc owa jest duża, sklepiona łukowato, czworokątna i malowidłami ozdobiona, i tę własność posiada, iż gdy dwie osoby staną w dwóch przeciwległych rogach sali z odwróconemi ustami ku ścianie i szeptem prowadzą rozmowę, to wzajemnie słyszą się wybornie, choć przestrzeń przynajmniej pięćdziesięciu kroków je dzieli; pośrodku stojąca osoba za to nic a nic nie słyszy. Osobliwsze to wrażenie wywiera na rozmawiających, z doświadczenia własnego to mówię, bo i z Bronią i z ojczulkiem rozmawiałam i jaknajdokładniej wzajemnie słyszeliśmy wszystko. Zakrystyan nam mówił, że za dawnych czasów sala ta służyła za miejsce obrad i to rzeczywiście jest dosyć prawdopodobne.

Z tego kościoła poszliśmy jeszcze do kilku innych, do kościoła Dominikanów, który jest największy po katedrze i ma z boku kaplicę, z cząstką prawdziwego drzewa Krzyża

świętego, do Karmelitów na Targu gdzie znajduje się dawny obraz w wielkim ołtarzu. Kościołów jest w Lublinie trzynaście, niepodobieństwo było zwiedzać wszystkich, bo i nie przedstawiają nic tak dalece pamiątkowego i my nie wiele mieliśmy czasu. Dla pokazania nam różnych części miasta, ojczulek kazał nas obwieźć po ulicach; niektóre są tak wąskie, iż ledwie przejechać było można, a inne znów tak szerokie i piękne, jak i w Warszawie. Dużo tu jest przytem ogrodów, kominów fabrycznych widać także dosyć, a w ogóle miasto wygląda wesoło i ruchliwie; ten ostatni przymiot można przyznać i części żydowskiej, lecz że tam nie wesoło, to pewna, a brudno i cuchnąco, aż strach zbiera.

Około godziny drugiej już znajdowaliśmy się na dworcu kolei, z wielkim żalem siadałyśmy do wagonu, wiedząc, iż teraz już nie wysiadziemy tak prędko i nie po to, aby coś zobaczyć, lecz aby się na inną kolej przesiąść i w dalszą drogę dążyć, a droga była jeszcze daleka, bo od Kowla jechać trzeba godzin dwadzieścia, potem trzy ukraińskie, to jest dziewięciowiorstowe mile końmi.

W drodze nie mogłam się dosyć nadziękować najdroższemu memu ojczulkowi za tę wielką przyjemność, jaką mi sprawił. Ciągłe prawie rozmawialiśmy o tem wszystkim, co się przed naszymi oczyma przesunęło. Zadowolenie było ogólne, to też droga choć długa, wcale nam się taką nie wydawała, tembardziej, że i przespaliśmy się nieźle za Kowlem.

W granice wsi naszej wjeżdżaliśmy o zachodzie słońca, rada byłam, że się moja ukochana Dziadowszczyzna tak pięknie mojej miłej Broni przedstawi; pomimo tylu pięknych widzianych okolic, zawsze zachwycałam się położeniem rodzinnego mego domu, ale ciekawa byłam wrażen mój towarzyski. Nie oniemiała wprawdzie z zachwytu, lecz przyznała, iż nie spodziewała się na Ukrainie napotkać tak piękną miejscowość. Dom stoi na wzgórzu, na tle ciemnozielonych drzew, ma duży podjazdowy ganek na kolumnach wspany oł frontu, a od ogrodu ogromny taras, z którego prześliczny widok się odsłania, bo ogród spuszcza się pochyło ku ogromnemu stawowi, a poza tym trochę z boku mieści się cukrownia i domki oficyalistów. Dalej po jarach i wzgórzach malowniczo rozrzucona wieś, w dalekiej perspektywie dębowy piękny las ukrywający w swych głębiach starodawne kurhany.

Słońce całym purpurowym blaskiem swych zachodzących promieni snopy iskier rzucało na okna, jakby je zapalało na nasze przybycie. Konie biegły rażno czując w pobliżu stajnie, a i my byliśmy zadowoleni, iż nakoniec znajdziemy się w domu; ojciec ze względów gospodarskich, ja zaś uszczęśliwiona, że będę miała moją kochaną Bronię przez całe wakacje, układałam sobie w myśli, jak będę się starała, aby jej było u nas dobrze i aby kwitnącą zdrowiem do Warszawy odwieźć.

Wakacje przemknęły jak sen, na rozmaitych rozrywkach, jak jeździe konnej, powożeniu, pływaniu łódkami, grę w krokiet i t. p. Sama wstawałam codziennie raniutko, lecz aby nie budzić mój towarzyski, wychodziłam do drugiego pokoju i tam przy oknie otwartem na ogród spisywałam te wrażenia z podróży. Dokończyć jednak musiałam w Warszawie, bo czasu zabrakło na wsi, ale za to obie przyjechawszy na pensyę wyglądałyśmy jak róże i pani R. naprawdę była mi wdzięczną za swą córkę.

Często rozmawiamy szczególnie w niedzielę o wycieczce naszej, a ja marzę, aby zanim do Szwajcaryi pojedę, zwiedzić Ojców i Zakopane, bo chciałabym bardzo przedtem widzieć wszystko, a przynajmniej dużo z tego, co kraj nasz ma najpiękniejszego. Ojczulek pewno znów skłoni się chętnie do spełnienia mych marzeń i znów puścimy się we trójkę, bo bez Broni byłoby mi tak smutno i dziwnie jakoś, że z pewnością nie miałabym tyle przyjemności, co tym razem.

LWY OSWOJONE.

Już w czasach starożytnych próbowali ludzie oswajać te straszliwe zwierzęta i nieraz im się to udawało. Pisarz rzymski Pliniusz opowiada, że Hannon Kartagińczyk miał lwa oswojonego, który jak pies za nim chodził. Za to wygnany był z miasta, gdyż obywatela utrzymywali, iż człowiek, który zdołał pokonać i ułaskawić tak drapieżnego zwierza, może się stać bardzo niebezpiecznym dla rodaków z powodu nadzwyczajnej siły. Za czasów cesarów rzymskich widziano często lwy w cyrku, a niekiedy poskramiano je, zarzucając im płachty na głowę. Zwierzę oślepię i strwożone traciło wówczas przytomność i łatwo dawało się pokonać. Za dni naszych nieraz także wędrujące menażery przedstawiają widowiska pogromców lwów, widziano nawet młode kobiety, wchodzące odważnie do klatki drapieżnych tych zwierząt i różnemi sposobami zmuszające je do posłuszeństwa.

W dawniejszych czasach władcy na Wschodzie, nieraz dla okazałości, a może i postrachu, trzymali na dworach swoich lwy oswojone. Jak niesie podanie, cesarz Antoniusz po świetnym zwycięstwie pod Farsalą ukazał się na wozie tryumfalnym, ciągniętym przez lwy, zapewne dobrze obłaskawione.

W późniejszych czasach widziano takie lwy na dworze słynnego Teodorusa, władcy Abisynii. Rysunek nasz przedstawia owego Teodorusa, przyjmującego poselstwo angielskie w r. 1866. Siedział na tronie, mając przy sobie cztery przepyszne lwy, które pieścił, zupełnie jak psy pokojowe, rozmawiając z posłami.

Park narodowy amerykański.

W Ameryce północnej, w obrębie stanu Wyoming, jest przestrzeń rozległa, zajmująca 3575 mil kw. angielskich, tyle prawie, co którakolwiek gubernia w kraju naszym, przeważana przez mieszkańców tamtejszych parkiem narodowym. W puszczy tej, zresztą zupełnie dzikiej, nagromadziło się nieskończone mnóstwo piękności przyrody, wędrowiec na każdym kroku wpada w zachwyt na widok tych cudów, chociaż w Ameryce nie brak wspaniałych krajobrazów. Dlatego też cały ten obszar oddzielono, nie pozwolono niszczyć, stanowi on własność wspólną wszystkich mieszkańców, jak wskazuje nazwa parku narodowego.

Niegdyś, w czasach niezmiernie starożytnych, do których pamięć ludzka nie sięga, może też jeszcze przed istnieniem ludzkiego rodu, musiały tu wszędzie się odbywać olbrzymie przewroty wulkaniczne. Pozostawiły po sobie ślady widoczne, skały zastygłej lawy, masy szklane, wreszcie do dziś buchające gejzery, źródła wody wrzącej. Jedno z takich źródeł przedstawia nasza rycina, która wszakże słabe tylko wyobrażenie dać może o przepychu tego krajobrazu.

Okolica jest górzysta, wyniosłe łańcuchy gór, z których najwyższe zwane szeregiem Tytanów, *Titan's range*, dochodzą wysokości 4000 metrów ponad poziom morza, poprzerwane są głębokimi rozpadlinami, wąwozami, w najniższej części rozciąga się ogromne jezioro, liczne potoki i strumienie spływają do rzeki głównej, *Yellowstone river*, co ma znaczyć rzeka żółtych gładów. Ztąd i kraina ta cała bywa też nazywana parkiem Yellowstone.

Ale skały te nietylko żółte przybierają barwy, jest to właśnie jedną z największych osobliwości tej krainy cudów, że w skutek działań wulkanicznych, olbrzymie ściany kamienne, piętrzące się ponad szumiącymi w kotlinach potokami i wodospadami, przybrały najrozmaitsze i najdziwniejsze barwy tęcze, mienią się, jak perłowa macica w odcieniach fioletowe, purpurowe, szmaragdowe, błękitne i żółtawe, a niekiedy jaśnieją białością śniegu. Cudnie odbijają przytem wody strumieni i ciemne bory sosnowe.

Po samym środku parku, gdzie najliczniej są zgromadzone gejzery, stoi ogromny hotel, dość stosownie przezwany mamutowym, *Mammoth hotel*, jakby miasteczko, mieszczące w sobie najrozmaitsze przybory, dla wygody wędrowców przeznaczone. Można tam zamawiać przewodników, wynajmować konie, dostać zapasów żywności na drogę. Na zwiedzenie bowiem parku w całej jego rozciągłości trzeba poświęcić kilkanaście dni, a w dalszych okolicach niema już hotelów, ani żadnych mieszkań ludzkich, jest to szczerza puszcza. Muszą więc podróżnicy zaopatrzyć się w jedzenie, w ciepłe okrycia, gdyż noce spędzają tam pod gołym niebem.

Polowanie zabronione jest w parku narodowym, lecz wolno łowić ryby, a jest ich obfitość wielka w rzekach i jeziorach, zwłaszcza przepysznych pstrągów. Korzystają też z tego pozwolenia Amerykanie i zjeżdżają się tam na połów ryb. Niemała też przytem mają wygodę, bo schwytawszy rybkę w zimnym strumieniu, zaraz ją mogą w gorącym źródle ugotować.

Ponieważ te źródła wrzące nieustannie buchają, więc i postać krajobrazu ciągle się potrochę zmienia. Dawniejsze wytwory, pod wpływem tej gorącej wody, psują się i rozkruszają, a na ich miejsce powstają nowe, odmienne. Wspaniały i niezwykły ma być widok tych olbrzymich strumieni, tryskających w górę i obłokami pary buchających w powietrze. W niektórych miejscach brak zupełnie roślinności, a drobny, biały pył stałagmitów pokrywa ziemię grubą warstwą, jakby śniegiem.

Daliej znów bujne, przepyszne lasy iglaste zielonym płaszczem osłaniają stoki gór wysokich, w niezgłębionych kotlinach i wąwozach toczą się z hukiem potoki, tworząc wspaniałe wodospady. Krajobraz tak jest urozmaicony, że wędrowiec codziennie w ciągu owych kilkunastu dni widzi coś nowego, a zawsze piękne i malownicze widoki ma przed oczyma.

JAŚKO CHUDZINA.

Lipcowe słońce rzucało żarem na drzemiącą w niedzielnym odpoczynku wioskę, dojrzałe kłosa chyliły się ku ziemi, a na wzgórzu pod cieniem gruszy leżało kilku wyrostków, spoglądając na pasące się na wygonie żrebce.

— Oho, i ja jutro stanę od świtu z żeńcami! — ozwał się najszczerplejszy i najmłodszy z nich Jaśko.

— Ech, ktoby tam takiego brał, jak ty, robotnika!

— Tyś niedorostek!

— Chudzina! — ozwały się głosy towarzyszków.

— Chociaż niedorostek i chudzina, starczę za dorosłego — odciął się Jaśko. — Nie wezmą mnie tu w Majkowicach to pójdę do zamku, do Sardęgi — I pokazał ręką w dal nad Pilicą, gdzie wznosił się wcale pokaźny zameczek. Nagle jednak krzyknął:

— O! och! — I zbiegł ze wzgórza, pędząc co miał siły. Towarzysze wzruszyli ramionami, śmiejąc się z niego, a Jaśko pędził w dal jarem do zamku. Most był zebrany od rzeki, z drugiej strony głęboka fosa otaczała drewniane zamczysko, bramy były zaparte, a wszystko tchnęło zupełnym spokojem, nie spodziewano się ani napadu nieprzyjaciela, ani przybycia gościa, bo latem każdy miał co robić u siebie.

Jaśko nie zląkł się ani rzeki, ani fosy; znał on wszelkie miałki miejsca podczas lata na Pilicy, brały też otwierać nie potrzebował, bo wiedział o dziurze w wałach, przez którą można się było dostać do wnętrza niezbyt obornego zamczyska. Prześliznął się przez nią i wszedł na obszerne dziedzińce, a nie spotkawszy nawet psa, coby mu przeszkodził, jednym susem był przed zamkiem, gdzie na murawie pod cieniem lipy spał średnich lat mężczyzna.

— A ty nicponiu! jak śmiesz mnie dotykać i budzić tak samopas! — wrzasnął rozbudzony, i spojrzawszy gniewnie, żyłastą dłońią chciał chwycić za rozczochraną Jaśka czu-

pryń. Lecz Jasiak zręcznie się na bok usunął i nie tracąc rezonu, zawołał:

— Od lasu ciągnie cała chmara zbrojnych, ino błyszczą!

— Gdzie? — zapytał, zapominając o gniewie pan Floryan Szary, dziedzic Majkowic i Sardęgi *) i zerwał się na równe nogi.

— Tam, tam! — rzekł Jaśko, wyciągając rękę ku południowi. — Myślałem, co las wyrósł tak nagle, ale się rusza, a muszą to być wrogowie, ho rzną przez pole, po zbożu!...

— Na koń! — wykrzyknął pan Floryan i zadął w róg wiszący u pasa. Na odgłos rogu i głos donośny pana, ze wszystkich stron zamczyska, zabudowań i sadu zaczęli śpiesznie wychodzić ludzie młodzi, dorodni, wojackiej postawy.

I zostawiając na później *mcnitum* dla opieszałego strażnika, dalej wydawał rozkazy:

Jaśko tymczasem, przetrwany i tutaj Chudziną, krzątał się wraz z innymi, nie odstępując jednak samego pana, około którego kręcił się bezustannie, roznosząc jego rozkazy z taką szybkością, że tylko z pod jego bosych nóg tuman kurzu się podnosił, osłaniając go prawie całego.

— To czeskie powiewają znaki! — przyniósł ktoś wiadomość z wieżycy.

— Czeskie? — zapytał ze zdziwieniem pan Floryan.

— Ciągną jarem wzdłuż rzeki, skręcają na zachód... zginęli z oczu... są na szczerem polu... omijają zamek... traturają zboże, oj, nie będzie żniwa! — podawano głosy z wieżycy.



Lwy oswojone.

Znać wszyscy jak i sam pan, używali niedzielnego wypoczynku, lecz na znany sobie odgłos każdy zerwał się na równe nogi i biegł zajrzeć w oczy nieprzyjacielowi, nie pytając nawet, gdzie on i jaki.

Wkrótce też cały dziedziniec i zabudowania gospodarcze zawrzały życiem; pacholkiwie siodłali konie, parobcy wytaczali wozy, a towarzysze pana na Sardędze wdzielali łosiowe kaftany lub zbroiczki. Przypasywano miecze, a na wały zataczano beczki ze smołą, która w razie napadu zięjącym ogniem spadać miała na oblegających. Jednocześnie z wieży zamkowej dały się słyszeć odgłosy trąby, wołającej na trwogę.

— Ten osioł, dopiero się teraz zbudził! — wrzasnął w gniewie pan Floryan. — Gdyby nie ten oto *chudzina*, byliby nas jak raki na noclegu wyłowili!

*) Dziś wieś ta nosi nazwę Majkowic, w powiecie noworadomskim, nieopodal są ślady zamczyska.

— Będzie żniwo! ale z głów nieprzyjacielskich! — wrzasnął pan Floryan. — Jeżeli jako wrogi przez kraj nasz przeciagają — dodał jakby do siebie.

— Będzie żniwo! — zapiszczał cienkim głosem Jaśko, przestępując z nogi na nogę tuż obok pana.

— Co ty, kundlu! będziesz mnie przedrzeźniał — zawołał pan Floryan, patrząc surowo na chłopca i znowu wyciągnął rękę ku jego czuprynie. Jaśko znowu zręcznie się usunął, odskoczył na bok i stanawszy z drugiej strony pana zawołał:

— Oj będzie żniwo! i ja będę żął!

Pan Floryan obejrzał się i pomimowoli uśmiechnął, spojrzawszy na iskrzące się oczy chłopięcia, które skakało obok niego, ciesząc się na to żniwo, które obiecywał. Pokręcił więc chłopca za ucho, uśmiechając się dobitnie, a Jaśko, choć mu aż świeczki w oczach od tej pieszczoty stanęły, nie stracił jednak rezonu, tylko po swojemu zawołał.

— Oj będę i ja żął!

— Co ty, Chudzino, będziesz żał? — zapytał śmiejąc się pan Floryan, który, jako był człowiek mężny a wielkiego serca, ale też i wszelkie lubił krotochwile.

— A te łby nieprzyjacielskie! — zawołał Jaśko, wyciągając rękę w stronę, kędy przechodziła owa *chmara* wojskowa.

Pan Floryan zaśmiał się, a nie zajmując się więcej *Chudziną*, dawał dalsze rozkazy. Wkrótce się przekonano, że Czesi ciągnąc ku zachodowi obierają jednak taką drogę, jakby mieli iść ku Gnieznu.

— To oni pewno z Krzyżaki się zmówili i chcą napaść naszego pana, Władysława Łokietka! — rzekł nagle pan Floryan, uderzając się w czoło. I nie namyślając się długo, zawołał:

ciągnąc z pomocą królowi do Gniezna. Po drodze nie mało się też przyłączało szlachty, boć już od sejmku w Chęcinach, co się odbył na początku roku 1331, każdy się gotował, aby stanąć z bronią przeciw Krzyżakom, z którymi wszelkie rokowania na nic się nie przydały i postanowiono raz tego wroga jak należy poskromić. Coraz też więcej sprawdzały się wieści, że Jan, król Czeski, miał iść w pomoc Zakonowi, a wojska, dojrzone przez Jaśka, były właśnie ową pomocą.

Poczet pana Floryana tak umiał się jednak urządzać, idąc w tę samą, co wojska czeskie drogę, że kiedy one były w Burzeninie, to on był około Sieradza, i tak wciąż je wyprzedzał, mając jednak na oku. Po drodze też spotykał dużo innych, ciągnących jako i on ku Gnieznu, i coraz



Park narodowy amerykański.

— Ładować wozy! niechaj ruszą wążkim taborem, a kto żyje, na koń! i za mną w pole, jeszcze przed zachodem słońca!

— Na koń! i w pole jeszcze przed zachodem słońca — zapiszczał Jaśko.

— Co? i ty znowu! — krzyknął pan.

Lecz Jaśko, nie zląkł się tego głosu, tylko przypadł do stóp pańskich i całując je, wołał:

— Niechaj i ja pójde na to żniwo!

Pan Floryan spojrział badawczo na chłopca, a potem mruknąwszy coś sam do siebie, zawołał:

— Dać tam temu *Chudzinie* podjezdka, a i odziać go tam, niech jedzie. — A potem pomyślał:

— Czasem to tam Pan Bóg przez usta takich prostaków ostrzeżenie przesyła; a ten mnie też obudził, nie można prośbie jego odmawiać.

I szykowano się dalej na wyprawę, a przed zachodem słońca wcale nieszpetyny poczet wyruszył z zamku Sardęgi,

liczniejsze zbierały się szyki i zanosilo się na zaciętą wojnę, na którą ze wszech stron zdążano.

Czesi skierowali się na Kalisz, gdzie już wojska krzyżackie pod dowództwem marszałka zakonu Dietricha von Altenberg całą okolicę zajęły. Tem więcej trzeba było baczności, aby stronami się przedrzeć, a bitwy z silniejszym od siebie nieprzyjacielem nie staczać i nie rozpraszać sił, tak potrzebnej do głównej walki. Wzięto się więc od Sieradza lewym brzegiem rzeki Warty, a zostawiwszy ją pod Kołem, przedzierano się ku północy, na Babiak, do Lubrańca, poza którym zbierały się główne siły, aby stawić czoło nowym hufcom krzyżackim, ciągnącym od północy. Smutna to była podróż przez kraj zbiedzony ciągłymi napadami Zakonu: pola zniszczone, miasta obrócone w perzynę, jakgdyby przez nie dzicz tatarska przeciągnęła. A trwała ta podróż prawie dwa miesiące; bo kiedy pan Floryan wychodził z Sardęgi, to Lipiec był na schyłku, a teraz gdy dochodził pod Płowce, Września przeszła już połowa. Ludzi też zbroj-

nych moc ogromna na równinę tę bezleśną ciągnęła; jak zajęrzeć okiem, konie, a z nad nich głowy ludzkie, dzidy, ośce, oszczepy i topory w słońcu się świecą, a przy bokach ciężkie wiszą miecze. Naraz doleciał uszu przybywających szcęk i wrzawa bitwy.

— Dobra nasza! w sam czas przybywamy! — zawołał pan Floryan i poprawił się na koniu.

— Będzie źniwo! — zapiszczał Jaśko, jadący w ostatnich szeregach na swoim podjeżdżu.

Wtem dał się słyszeć huk jakiś nieznanym i obłok dymu okrył przybywających.

— Chryste, miej nas w swojej opiece! — krzyknął pan Floryan — toć to czuć siarkę, chyba samo piekło ci Niemcy na nas prowadzą *).

Tymczasem huk się zwiększał, błysk jakiś dolatywał, coraz gęstsze tumany dymu pędziły ku naszym zastępom, a coraz silniejsza woń siarki przepelniała powietrze.

— Na moc szatańską jest krzyż święty! — zawołał pan Floryan i zakreśliwszy mieczem krzyż w powietrzu, rzucił się wraz ze swoim hucem na oddział z lewego skrzydła Krzyżaków.

Walka to była straszna, przez dwie doby słyhać było tylko szcęk mieczów, głuche jęki, tłumione owym hukiem, wyrzucanym z maszyn, przez Krzyżaków przyprowadzonych.

Wreszcie wszystkie odgłosy bitwy zmieszały się razem, zażartość wściekła obie strony objęła, człek z człkiem chwycił się za bary i usiłował powalić, konie i ludzie mieszały się w jedną masę, a wśród niej uwijało się pachole, wyrzucając z niewielkiego łuku strzały tak zręcznie, że prawie nie chybiła żadna.

Wtem na twarz pacholecia trysnęła kropla krwi gorącej i ujrzał swego pana spadającego z konia... Krzyżak ciężkim mieczem uderzył w brzuch nieszczęśliwego, a zamierzwszy się po raz drugi, chciał mu zadać cios śmiertelny. Lecz naraz ktoś podciął mu rękę od dołu z taką siłą, że ciężki miecz wypadł z dłoni Krzyżaka, pięść zwisła, trzymając się na skórze, świsnęła strzała i utkwiała w oku Krzyżaka, który zachwiał się i padł ogłuszony. Przy leżącym bez zmysłów panu Floryanie klęczał Jaśko, przezwany Chudziną, a bitwa wrzała dalej, bo nikt nie troszczył się o tych, co do walki nie byli już zdolni.

Wreszcie ucichło wszystko, noc rzuciła chłodną rosę na tych, co ostatnie wydawali tchnienie i na tych, których szarpała gorączka z ran odniesionych. Aż ozwały się trąby, ogłaszające zwycięstwo i do uszu Floryana i Jaśka dochodziły wyrazy:

— Nasza wygrana! Krzyżak pokonany!

— Ach! — westchnął leżąc pan Floryan, cały krwią zbaczony.

— Żniwo się udało! — szepnął mu Jasiek, podtrzymując głowę jego.

Gdy świt zaczął się przedzierać, chłopiec jęknął z przeobrażenia, ujrzawszy rozplątany brzuch swego pana i wydobywające się z niego wnętrzności.

— Wody! — szepnął słabym głosem pan Floryan.

Jaśko obejrzał się; wielka równina zasłana była jedną bezkształtną masą ciał ludzkich, koni i zbroi; wstrząsnął się na ten widok, ale uchwyciwszy hełm z walającą się głową krzyżackiej biegi, aby z pobliskiego jeziora naczepnąć nim wody.

— Coś ty? — zatrzymał go głos donośny i pełen powagi rycerz stanął przed nim.

Jaśko śmiało spojrzął na mówiącego.

— Niosę wodę dla mego pana, co z niego Krzyżacy *jelita* wyciągnęli.

I nie zatrzymując się, szedł żywo, by jaknajprędzej przynieść pożądaną wodę. Pytający uśmiechnął się smutnie i rzekł do otaczających go rycerzy:

— Pójdźmy za nim!

Pan Floryan tymczasem, otrzeźwiony przez Jaśka, opatrywał swą straszną ranę.

— Musisz wiele cierpieć — zabrzmiał ów głos łagodny, i rycerz niewielkiego wzrostu stanął tuż obok Floryana i Jaśka.

— Najjaśniejszy panie, mniej mnie ta rana dokucza, niż zły sąsiad krajowi! — odrzekł Floryan słabym głosem.

— Dzielnny człek z ciebie! — zawołał Władysław Łokietek, który zwiedzając pobożowisko spotkał Jaśka i dotarł do rannego.

— Jak się zwiesz? — dodał.

— Mój pan jest Floryan Szary, pan na Majkowicach i Sardędze! — wyręczył Jaśko rannego.

— A więc Floryanie Szary, na pamiątkę twojego męstwa podczas bitwy pod Płowcami w dniu 27-ym Września 1331, dodaję do twego dawnego herbu trzy włócznie, boś trzy cięcia otrzymał, a herb twój zwać się będzie Jelita!

To rzekłszy, Władysław Łokietek kazał rannego przenieść do najbliższej chaty i opatrywać.

Jaśko nie odstąpił pana, oddając mu wszelkie posługi, nie odstąpił go też, gdy powrócili do Sardęgi i stał się jego przybocznym zrazu pacholikiem, a potem wiernym sługą i towarzyszem w każdej potrzebie.

Jaśko z sieroty, pasącego źrebce, stał się dzielnym wojakiem, dostał też od pana Floryana wioskę *Chude pole*, a przezwisko *Chudzina* tak przyrosło do niego, że i on i jego dzieci nosiły nazwę Chudzinów, a ród ten długo się utrzymał, słując zawsze poczciwie krajowi.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

P. Katarzyna sama koniecznie chciała zmieniać okładę, p. Gudula tymczasem, oszczędzając ze mną nieco na stronę, opowiedziała mi niezwykle dzieje tego młodego „rozynka,” gdyż Sadaktu, a raczej Edgar Voost także takie miano nosił wśród Tuaregów. Edgar i Rudolf, dwaj bracia rodzeni, oddani do szkół przez ojca, nie mieli wcale ochoty do nauki. Próznowali, baki zbijali, aż w końcu ojciec musiał się wyrzec nadziei wywierowania ich na uczonych i oddał chłopców do kupca, ażeby się przysposobili do handlu. Kupiec ów miał rozległe stosunki w całym świecie, wysyłał własne okręty ładowne za morze do Indyj, do Ameryki, a że obaj młodzieńcy mieli większą daleko ochotę do podróży i przygód nadzwyczajnych, niż do spokojnej pracy, więc wybrali się dnia pewnego w jakąś daleką, zamorską wędrowkę.

W kilka miesięcy rozeszła się wiadomość, że okręt, na którym odpłynęli, rozbił się na rafach w okolicach wysp Kanaryjskich. W rzeczy samej nie powrócił nigdy do portu, nie uratowano też nikogo z załogi. Nieszczęśliwy ojciec niesfornych chłopców, nie mający więcej dzieci, umarł wkrótce ze zgrzyoty, a p. Katarzyna odziedziczyła także i jego majątek. Dobra ta panienska uszczęśliwiona była teraz, że będzie mogła go zwrócić prawym spadkobiercom i ciągle o tem mówiła z takim zapałem, jakiego nawet nie przypuszczałem w tej zimnej na pozór istocie. Można też było z całą słuszością zastosować do niej przysłowie: pozory mylą. Na pierwszy rzut oka wydawała się samolubną i bez serca; w rzeczywistości miała serce, szlachetne i głęboko czujące.

Chory Edgar ciągle był nieprzytomny, nie mogliśmy więc nic a nic dowiedzieć się od niego o losach brata Rudolfa. Wymawiał jednak pokilkakrotnie w gorączce jego imię, jakgdyby go przywoływał do siebie. Wnosiliśmy żąd, że brat ten żył, a nawet był gdzieś niedaleko, może pomiędzy rozynkami, których nie brakło w różnych oddziałach wojskowych Tuaregów. P. Katarzyna drżała na samą myśl, że

*) Krzyżacy w walce pod Płowcami pierwszy raz zaczęli używać palnej broni, nieznaną dotąd naszym wojskom.

chory mógł nie odzyskać wcale przytomności i umrzeć, nie wydawszy tajemnicy, a wówczas, gdzie miała szukać biednego Rudolfa wśród puszczy afrykańskich? Po raz pierwszy ujrzałem ją płaczącą, gdy mówiła o tem z ciocią Gudulą i powtarzała, że nigdy w życiu chwili spokoju nie zazna, jeżeli nie będzie mogła zwrócić krewnym swoim nieprawnie zagarniętego spadku.

Pocieszałem jak mogłem strapioną panienkę, w końcu nawet wieczorem upewniłem ją, że Edgar żyć będzie, bo stan jego w rzeczy samej polepszył się znacznie. Gorączka nieustawała wprawdzie, ale chory uspokoił się trochę, przestał majaczyć i zapadł w sen głęboki. Noc przeszła wcale niezłe, na usilne błagania cioci Guduli p. Katarzyna nad ranem udała się na spoczynek. Jeszcze przez kilka godzin przytomność nie powróciła choremu, lecz około południa gorączka spadła nieco, nastąpiły obfite poty, oczy młodego roznika przestały błędnie spoglądać dokoła, wreszcie poprosił o wodę Karola w tym dziwacznym języku, który w Afryce nazywają językiem Franków. Jest to mieszanina mowy francuskiej z włoską, hiszpańską i innymi europejskimi narzeczeniami. Oczywiście nic o tem nie wiedział, że w gorączkowych majaczeniach wydał tajemnicę swojej narodowości i nie miał zamiaru przyznać się do niej.

P. Katarzyna chciała natychmiast przystąpić do badania, lecz ja się temu sprzeciwiłem, obawiając się dla chorego zbyt silnych wzruszeń. Ale stała się rzecz niespodziewana, która przyspieszyła rozstrzygnięcie sprawy. Sadaktu, bo dotąd zachował to imię, skinął na mnie w chwili, gdy obie panie się oddaliły i prosił, abym z odzienia jego wyjął pudełko blaszane, które tam znajdować się powinno. Znalazło się z łatwością, on wówczas prosił abym je zabrał i schował u siebie.

— Czuję się bardzo cierpiącym — rzekł — w pudełku tem złożone są ważne bardzo dokumenta rodzinne. Gdybym umarł, bądź pan łaskaw oddać to wodzowi Fulanów, El Hadzi Imestanowi...

Przerwałem mu mimowolnym okrzykiem, spojrział na mnie z podziwieniem, a ja starałem się zatrzeć to wrażenie, przypisując wykrzyknik mój jakiejś innej przyczynie, zmyślonej na przódce. Ale nie tracąc czasu, pobiegłem pędem do p. Katarzyny i p. Guduli, aby je o tem dziwnym odkryciuawiadomić. Nie wątpiłem bowiem ani na chwilę, że Imestan był właśnie poszukiwanym przez nas Rudolfem, bratem Edgara. Bo inaczej pocóżby ten mu kazał oddawać po śmierci swojej dokumenta rodzinne? Obie panie podzielały przekonanie moje, dziwiliśmy się nawet, żeśmy tego nie odgadli odrazu, dwaj rozniki podobni byli do siebie, mieli jednako-wiuteńkie oczy błękitne.

P. Katarzyna cieszyła się szczerze z odnalezienia krewnego, bo nie wiedziała, w jakim położeniu Imestan znajdował się obecnie. Lecz ja, który byłem świadkiem dnia poprzedniego, jak młody wódz Fulanów, oskarżony o zdradę stanu, prawie stanowczo na śmierć skazany został, zdrząłem na myśl, że wyrok ten mógł być już wykonany w tej chwili. Chwyciłem więc pod rękę wujaszka Baka, który powróciwszy z wycieczki botanicznej, dość obojętnie wysłuchał opowiadania kobiet o tych dziwnych zdarzeniach i pociągnąłem go za sobą do ogrodu.

W kilku słowach i z jaknajwiększym pośpiechem wytłómaczyłem mu, co się dzieje; nie było ani chwili czasu do stracenia, jeśli Hadzi Imestan, a raczej Rudolf Voost żył jeszcze, należało biedz do wielkorządcy iawiadomić go o wszystkim. Że p. Lemercier, serdeczny nasz przyjaciel, występek nawet przebaczył Imestanowi, dowiedziawszy się, że to tak blizki krewny p. Katarzyny, o tem nie wątpiłem; ale czy nie będzie za późno? Wyroki wojskowe zazwyczaj szybko bywają wykonywane, tym razem timbuktukoj musiał działać energicznie, ażeby władzę swoją utwierdzić i zbawienną trwogę wzbudzić w stronnictwach przeciwnych. Zimny dreszcz przeszedł mnie na samą myśl, że nieszczęśliwy młodzieniec zginął już może, i to tak smutną, hańbiącą śmiercią, w chwili właśnie, gdy inna, pomyślniejsza przyszłość otwierała się

przed nim, gdy napotkał kochającą rodzinę i mógł powrócić do życia cywilizowanego.

Wujaszek Bak był także wzruszony, cóż, kiedy spostrzegł po drodze jakieś osobliwe ziółko i zatrzymał się, aby je zerwać. Ci uczeni ludzie czasem naprawdę do okrucieństwa dojść mogą, życie bliźniego gotowi poświęcić dla swoich upodobań. Oburzenie mię ogarnęło, gdy zobaczyłem zapalonego botanika zajętego swoim rzadkim okazem w podobnej chwili; pozostawiłem go więc tym zachwytem, a sam przyspieszyłem kroku i pomknąłem pędem do drzwi więzienia. Niestety! było odemknięte i próżne, więźnia w niem nie zastałem, serce moje ścisnęło się żalem nieopisanym, lecz nadzieja jakaś uporczywa nie dozwoliła mi rąk opuścić, jednym susem przeskoczyłem do mieszkania Francuza. Nie było go w domu, posługacz jakiś mi powiedział, że przed godziną wyszedł z szejkiem El Bakai na wały. Jakby instynktem wiedziony, spytałem o Barbuszę:

— Wyprowadził więźnia na plac, gdzie ma być rozstrzelany, za chwilę pewnie wróci, to długo nie potrwa...

Mogą sobie wyobrazić czytelnicy, co się działo ze mną, gdy on spokojnie wymawiał te słowa. Zapytawszy się gdzie jest ów plac nieszczęsny, z szybkością strzały popędziłem dalej. Jakaż radość niewysłowiona mnie przejęła, gdym spostrzegł wreszcie przed sobą orszak, pod wodzą Barbuszy prowadzący nieszczęśliwego Imestana, związanego lecz żywego jeszcze dzięki Bogu. Przyskoczyłem do Barbuszy z taką gwałtownością, że się przeląkł w pierwszej chwili, chociaż ten olbrzym nie był trwożliwego usposobienia.

— W imieniu pana twego, timbuktukoj, rozkazuję ci wstrzymać się z wykonaniem wyroku! — zawołałem bez tchu prawie — biorę na siebie odpowiedzialność, stójcie na straży przy jeńcu, ja biegnę na wały, za pół godziny najdalej powrócę razem z timbuktukojem. Pamiętajcie, że gdyby przez ten czas włos spadł z głowy tego człowieka, wy wszyscy mi za to odpowiecie.

Barbusza wiedział doskonale, jaka przyjaźń serdeczna łączyła mnie z jego panem, ani myślał więc sprzeciwić się moim rozkazom. Odpowiedział mi tylko skinieniem głowy i usadowił się wraz z więźniem i gromadką zbrojnych ludzi pod cieniem rozłożystego drzewa. Nadciągnął tymczasem zasapany i spocony wujaszek Bak, wydając okrzyki radości. Byłem pewny, że widok żyjącego Rudolfa wprawił go w takie zachwycenie, lecz rozczarowałem się prędko, gdy usłyszałem wołanie:

— *Euphorbia canariensis*, przepyszny gatunek ostro-mlecza! Szukałem długo nadaremnie, lecz mam go w końcu, mam!...

Wzruszyłem ramionami, już nawet i dziwić się przestałem, bo jeżeli ten pocziwina nie był skończonym szaleńcem, to nazwa pół-waryata słusznie mu się należała. Chociaż byłem już teraz spokojny o życie jeńca, należało jednak uprawnić ostatecznie tę sprawę, znowu, tedy nie tracąc czasu śpiesznie udałem się na na wały, gdzie niezadługo napotkałem Francuza. W kilku słowach opowiedziałem mu rzecz całą, on też jak się spodziewałem, uradowany był niezmiernie wiadomością, że zdążyłem w porę wykonanie wyroku powstrzymać.

— Teraz jednak — rzekł — jeżeli ten Imestan czy Robert nie jest Anglikiem, jak to sobie wyobrażałem, nie pojmuję co miał w tem za interes, aby mi tyle kłopotu przyczynić. Zaczynam myśleć, że nie jest ani zdrajcą, ani szpiegiem musi to być jakieś nieporozumienie. Zresztą, obaczmy.

Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie jeńca, na śmierć skazanego, gdy groźny timbuktukoj zbliżył się do niego z uśmiechem i rzekł:

— Panie Rudolfie Voost, ponieważ okazało się, że nie jesteś Anglikiem, nie sędzę więc ażebyś miał być zdrajcą i szpiegiem. W każdym razie, przez wzgląd na blizką krewną pańską, bawiącą tu obecnie w Timbuktukoj, p. Katarzynę Voost, wracam panu wolność i ofiaruję przyjaźń swoją. Jeżeli zechcesz mi wytłómaczyć, w jakim celu upoiłeś wielbłądy przed bitwą.

Imestan czyli Rudolf przez chwilę nie był w stanie przemówić, ochłoniawszy nieco z podziwu i wzruszenia odpowiedział:

— Nie jestem zdrajcą ani szpiegiem, nie miałem żadnych złych zamiarów, ale popełniłem w rzeczy samej wielką nieroztropność. Słyszałem o tem, że wielbłądy napojone i następnie nakarmione daktylami wpadają w stan pobudzenia, bieżą na osłep przed siebie, jeździec nawet, jak mi mówiono, powstrzymać ich wówczas nie zdoła. Pragnąłem okryć się chwałą, wygrać bitwę z liczniejszym nieprzyjacielem, zmusić jeźdźców naszych do śmiałego ataku. Na nie-szczęście nie mam doświadczenia, przebrałem miarę, wielbłądy nie były ożywione i pobudzone, lecz odurzone całkowicie i głowy potraciły.

— Czemużes mi tego wczoraj nie powiedział? — spytał wielkorządca — wszak zostawiłem ci czas do obrony.

— Byłem pewny, że mi pan nie uwierzysz.

— Może i miał słuszność — szepnął Francuz, następnie podał rękę młodemu rozynkowi i dodał uprzejmie — pójdźże pan zapoznać się z krewną swoją, której zawdzięczasz życie, bo gdyby nie ona, niestety! wyrok byłby już wykonany w tej chwili.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(Od Gołąbki pocztowej dla Czarnulki).

Pięć liter staje w szeregu,
I powstaje nazwa drzewa,
Co w strefach, gdzie niema śniegu,
Pięknością inne zaćmiewa.

* * *

Pień smukły strzela wysoko,
Wspaniała liści korona
Zachwyca wędrowca oko,
Owocu osłania grona.

* * *

Lecz oto przemiana mała
W porządku liter nastąpiła,
I wnet znaczenie wyrazu
Przemienia się odrazu.

* * *

Więc mamy znów sprzęt nieduży
Wielka zeń jednak wygoda,
Bo nieraz nam dzień przedłuży,
Do pracy ochoty doda.

* * *

Raz jeszcze porządek nowy
Pięciu tym głoskom nadany,
I wnet inny wyraz nowy
Z odmiennem znaczeniem mamy.

* * *

Lecz każdy, kto czystość lubi,
Do tej rzeczy wstręt ma wielki,
To też rad, gdy ją wygubi
I ślad jego zatrze wszelki.

Łamigłówka zgłoskowa.

(Od Lisa z Mazowsza dla Latawca).

Z następujących zgłosek: ~~da~~s — ~~dr~~u — ~~dy~~k — e — ~~ge~~r — ~~in~~
— ki — ki — li — s — ma — ~~mi~~ — mia — ni — ni — k — non — pa — pu — ry
— skie — słoń — styn — tu — ty — wal — za — ułożyć wyrazy:
1. Ptak azyatycki, do nas zalatujący. 2. Książę z czasów ba-
jecznych. 3. Roślina zwrotnikowa. 4. Słynny wódz grecki.
5. Miejsce kąpielowe. 6. Zwierzę zamorskie. 7. Kanton
w Szwajcaryi. 8. Ptak domowy. 9. Futro.

Początkowe litery od góry do dołu utworzą tytuł pię-
knego polskiego poematu, końcowe w tym samym kierunku
nazwisko autora.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

Zadania konikowego:

Na wyniosłym zasiadł tronie,
O poręczach z białej kości,
Dumny Henryk, w słusznym gronie
Swój cesarskiej wielmożności.
Przy nim pobok baldachinu
Halabardni w zbroi białej,
Przy nim wespółk i biskupi
Ze srebrnymi pastorały.

(Wyjątek z poematu „Habdank” przez T. L.)

Krzyża z podstawą:

J
A
N
B E S K I D Y
O
C
H
A
N
O
W
O S A
R Y K S A
J A N I C K I

Leonji Rudzkiej

Przyjmuje uczennice na stałe i przychodnie. Zapis
uczennic rozpocznie się z dniem 20 Sierpnia.

Wiadomość przy ulicy Wielkiej Nr. 42, i ulicy Zielnej Nr. 13.

TREŚĆ: W dzień pochmurny wiersz (z drzew.) p. Z. Morawską. — Wspomnienia z wakacyj, spisała Br. Kuczyńska dokończenie. — Lwy oswojone (z drzew.) — Park narodowy amerykański (z drzew.) — Jaśko Chudzina. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. Dodatek: Wspólnymi siłami, (z drzew.) — Rozwaga po czasie, p. Kazimierę. — Wielkie zdolności, powiastka z prawdziwego zdarzenia p. Z. Morawską. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. — Mysza, śpiew. Dodatek książkowy: Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów, p. Michalinę Zielińską.



WSPÓLNEMI SIŁAMI.

Biedna liszka leży martwa na ziemi, jakiś okropny wypadek musiał ją spotkać, niestety! nawet wiadomość o tem żadna do nas nie doszła, wiemy tylko, że nie żyje. Liszka ta wcale nie jest ładna, gruba, niezgrabna, kosmata, niejeden może skrzywi się na jej widok; ale gdyby była dłużej pożyła, wyglądałaby wkrótce całkiem inaczej. Byłaby najpierw usnęła, otulona w jakąś powłokę, zmieniałaby się w nieruchomą poczwarkę, a potem, któż o tem nie wie? wyfrunąłby z tej poczwarki prześliczny jakiś motylek o skrzydełkach jaskrawych, ani podobny do brzydkiej, ocieźiałej liszki.

Ale teraz już nic z tego nie będzie, liszka zginęła w kwiecie wieku, smutne jej szczątki leżą na ziemi, czekając pogrzebu. Oj, dużo jest różnych żarłocznych stworzeń, które nie dadzą tym szczątkom długo poleżeć spokojnie, zamiast pogrzebu biednej nieboszczce, one sobie z tego pękatego, kosmatego cielska wyprawia ucztę nielada. Oto szerszeń o pięknych skrzydłach przejrzystych, o jaskrawym odwłoku w żółte i czarne pręgi, siada na grzbiecie liszki i myśli sobie:

— Ja tam nie jadam mięsnych potraw, nie rozumiem nawet, jak można w takich obrzydliwościach smakować, sok z kwiatów i owoców jest daleko lepszy. Cóż, kiedy moje dzieci takie znów mają szczególne upodobanie, że tylko mięso jadają. Wczoraj udało mi się z kuchni wynieść pyszny kawałek polędwicy, to też miały bał prawdziwy. Jak wyrosną te dzieci, z robaczek, z gąsieniczek, przemienią się na takie skrzydlate owady, jak ja, będą także wołały roślinne pokarmy. Ale teraz to kłopot mam z nimi niemały; muszę mordować muchy i inne owady, choć mi to przykro, trudnoż jednak tym biednym malcom nie dogodzić, zginęłyby z głodu. Żebyż to jakim sposobem tę liszkę zaciągnąć do mojego gniazda, na długo byłaby spiżarnia zaopatrzona.

A gdy tak nasz szerszeń rozmyślał, nadeszła mrówka i śmiać się z niego zaczęła:

— Ach, co za niezgrabiasz! Dałbyś pokój, bo nie podołasz. Wiem ja dobrze, o co ci idzie, chciałbyś dzieciom ucztę wyprawić, ale nic z tego, kochanku, ta liszka pójdzie do naszego mrowiska.

— Co, co? — wołał szerszeń — toż dopiero zarumiałość! Jeżeli ja nie zdołam dźwignąć takiego ciężaru, to jakżeż ty mu dasz rady? Wszak daleko mniejsza jesteś odemnie.

— Bał zapewne, ja też nie myślę sama brać się do tej roboty, ale poczekaj, zobaczysz zaraz.

To powiedziawszy, mrówka śpiesznie odeszła, a po chwili wróciła, prowadząc za sobą gromadę ogromną towarzyszek.

— Oho ho, wielka mi sztuka! — wykrzyknął szerszeń — jak się zabierzecie taką kupą do roboty, to zapewne, że podołacie wszystkiemu. Ja jestem dość silny, ale sam jeden...

— Otóż to właśnie — przerwała mrówka z szyderstwem — ty jesteś zawsze sam jeden, a źle to bardzo nie mieć pomocy; wy, szerszenie, podobno nie umiecie utrzymywać przyjaznych stosunków pomiędzy sobą. My co innego, to też u nas w mrowisku robota idzie zawsze, aż miło. No, zabieraj się jegomość, nie przeszkadzaj, bo nie mamy czasu do stracenia.

Szerszeń z początku chciał się sprzeczać, dowodził, że on pierwszy odkrył liszkę, pierwszy się na niej usadowił, więc za prawego właściciela powinien być uważany. Niewiele to jednak pomogło; mrówki oczywiście żartowały sobie z prawa, często i u ludzi siła idzie przed prawem, a cóż dopiero u zwierząt! Gdy więc nie chciał szerszeń zlaźić, rzuciły się mrówki na niego ze wszystkich stron, jak zaczęły go kłuć i szarpać, szturchać i popychać, musiał w końcu wynosić się, jak niepyszny.

Mrówki wówczas po swojemu zabrały się do roboty. Ustawiły się we dwa rzędy, jeden po prawej stronie liszki, drugi po lewej, potem z wolna, cierpliwie, podwazyły, popychały, a zawsze wszystkie razem, zgodnie, porządnie, wkrótce też ogromne cielsko poruszyło się z miejsca i posuwało coraz dalej. Droga do mrowiska dosyć była daleka, przytem uciążliwa, niewygodna, musiały nasze mrówki przebywać góry, wąwozy, okrążać zarośla, namęczyły się niemało, lecz postawiły na swoim, przywlokły szczątki liszki do swojej podziemnej spiżarni. Drobne, wątłe stworzenia mogły to zrobić jedynie wspólnymi siłami.

ROZWAGA PO CZASIE.

Lusia biegała po pokoju, śpiewając swojej małej córeczce, przyczem huśtała ją tak mocno, że biednej lalce rozwiewały się jasne włosy, zwinięte w loki, a gdyby słyszeć mogła, to prędzejby ogłuchła od tego śpiewu, aniżeli zasnęła. Ale na szczęście córeczka Lusi była taką samą, jak wszystkie córeczki porcelanowe i gipso-

we, więc krzyki Lusi nie robiły na nią żadnego wrażenia.

Za Lusią biegał znów Włodzio, ciągnąc za sobą bryczkę, zaprzęzoną w siwego konika, który za każdym szarpnięciem sznurka podskakiwał tak wysoko, że aż bryczka unosiła się w górę i groziła przewróceniem.

Włodzio trąbił na trąbce, bo jechał pocztą, a musiał się śpieszyć, aby zdążyć na kolej, którą miał podążyć na imieniny babuni. Mimo że konik nie opóźniał się ani sekundy, i tuż postępował za nóżkami Włodzia, chłopczyk niecierpliwił się bardzo na niego i jak tylko chwilę przestał trąbić, wołał:

— Wio! wio! śpiesz się, leniuchu, bo pociąg odjedzie i nie zdąży na bal do babuni.

Po tej przemowie rozpoczynało się znów trąbienie, a w pokoju był taki hałas, że kanarek w klatce na oknie myślał widocznie, że się pali, bo krzyczał także, jak na gwałt jaki, i aż się wspinał na paluszki, przekrzywiając główkę, jakgdyby wyglądał, z kądem pomoc nadejdzie.

Myślicie może, kochane dzieci, że to koniec na tej głośnej trójce, wcale nie, bo oto zbudzony ze snu smacznego Wiernuś usiadł na poduszce, a ziewnąwszy parę razy, przeciągnął się i dalejże gonić konika, czekając przytem zapamiętałe.

Łatwo sobie wyobrazić, jaki to tam był wrzask i hałas, nic więc dziwnego, że dzieci nie słyszały, jak drzwi się otworzyły i do pokoju weszła przestraszona mama, a za nią ciocia.

— Co się tu robi? — zapytała mama uspokojona, widząc, że dzieciom nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

— „A, a, kotki dwa” — śpiewała na cały głos Lusia, nie przestając biegać, i przymrużając swoje oczki, jakby dla zachęty, aby i lalka to samo zrobić zechciała.

— Wio! wio! — krzyczał Włodzio, przytupując nóżkami i szarpiąc biednego konika.

— Hau! hau! — czekał Wiernuś, starając się uchwycić zębami bryczkę, która podskakiwała, jakgdyby na największych kamieniach.

A kanarek wyciągał tak wysokie tony, na jakie tylko jego gardziółko zdobyć się mogło.

— Dzieci! — zawołała mama głośno — uciszcie się; któż w pokoju tak hałasuje, jak w lesie, pogłuchnąć wszyscy możemy.

Ale dzieci biegały w koło, ani myśląc zaprzestać tej wrzaskliwej zabawy.

— Lusi! Włodziu! — rzekła ciocia, pomagając mamie w uspokojeniu hałaśliwej gromadki.

Ale wszystko napróżno, ani śpiewy, ani trąbienie nie ustało na chwilę, a dzieci udawały, że nie widzą mamy i cioci.

• — Wiernuś! — zawołała mama — cicho, nie szcękaj.

Piesek natychmiast przybiegł do mamy, zaczął się łaścić i przymilać, jakby przepraszając za hałas, jaki wyprawiał przed chwilą. Ciocia tymczasem podeszła do klatki, i nachylając się, rzekła:

— Cicho bądź, Mimi, lepiej śpiewać, gdy nikt nie hałasuje, tak nikt cię nie słyszy, powiększasz tylko ten wrzask nieznośny.

Czy ptaszek zrozumiał tę przemowę, nie wiemy, to

pewna, że przestał śpiewać, a widocznie był bardzo zmęczony, bo skoczył do kubeczka pić wodę. Tylko Lusia i Włodzio biegali jeszcze i krzyczeli bez przerwy.

— A to szczególna rzecz — rzekła mama — że Wiernuś i Mimi mają więcej rozumu, aniżeli Lusia i Włodzio.

— I więcej nas kochają — dodała ciocia — bo usłuchali odrazu.

Dzieci słyszały te słowa, i Lusia zwolniła trochę kroku i ciszej śpiewała:

— „Kotki dwa, szare bure obydwu”.

A konik widocznie wjechał na piaski, bo ledwie się poruszał, trąbka wisiała spokojnie na tasiemce, a Włodzio postępował w milczeniu, jakby czegoś zafrasowany.

— Chodź, Wiernuś, pójdziemy do lasku na poziomki — rzekła mama — będziesz tam biegał i czekał dowoli.

— A tobie Mimi, przyniosę poziomek i nasypię na miseczkę; wiem, że lubisz ten przysmaczek — rzekła ciocia.

— Mateczko! — zawołała Lusia — czy i my pójdziemy?

— Ach, mamo! — powtórzył Włodzio, porzucając konika — pójdziemy do lasku, ja tak lubię zbierać poziomki.

Ale mama rozmawiała z ciocią i nic nie słyszała, co dzieci mówiły, ciocia także nie słyszała, choć dzieci czepiały się jej sukni, prosząc, aby iść mogły.

Wtem... dzieci się przeraziły najokropniej, bo mama, nie spojrzawszy nawet na nie, otworzyła drzwi i wyszła, Wiernuś w radosnych podskokach ją wyprzedził, tylko ciocia, trzymana silnie za suknię, stanęła.

— Ciociu! ach, cioteczko! — wołała Lusia z płaczem, a Włodzio jej pomagał — czy my naprawdę nie pójdziemy do lasku?

— Jakto? więc słyszeliście, żeśmy o tem mówiły? — zapytała ciocia ze zdziwieniem.

— O tak, słyszeliśmy doskonale — zawołali razem prawie.

— To być nie może, żebyście to słyszeli — powtórzyła ciocia, kręcąc głową.

— Dlaczego być nie może? — zapytał Włodzio — przecież mama mówiła to głośno.

— O wiele ciszej niżeli wówczas, gdy mówiła do was, abyście się uspokoiili — rzekła ciocia — Wiernuś wprawdzie usłyszał odrazu, i przestał szcekać natychmiast, no, ale piesek widocznie ma słuch lepszy.

— Ciociu... — szepnęła Lusia, spuszczaając oczki — ja chciałam usnąć lalkę.

— A ja chciałam zdążyć na pociąg — przerwał Włodzio — jechałem na babci imieniny.

— Więc wam nie przeszkadzam — rzekła ciocia, idąc do drzwi — oto twoja lalka, Lusi, ma oczy otwarte, zatem śpiewaj jej dłużej, a ty, Włodziu, trąb i krzycz, abyś się nie spóźnił na pociąg.

— Już nie będziemy hałasowali — rzekli oboje — tylko weź nas, cioteczko, do lasku.

— Chcecie teraz być posłuszni dla tego, aby iść na ulubioną przechadzkę — rzekła ciocia poważnie — to wcale nie jest z waszej strony posłuszeństwo na głos

mamy, którego każde dobre dziecko słucha, nie dla nagrody, ale z miłości, której widocznie w waszych sercach niema.

— Ciociu — zawołali razem — my naszą mamę kochamy nad życie!

— Słowem, ale nie uczynkiem — odrzekła ciocia — tymczasem nie zatrzymujcie mnie, musimy się śpieszyć, bo tam tatuś czeka na nas pod lasem, a wy tu sobie przez ten czas rozmyślajcie, czem dzieci dowieść mogą miłości swęj dla rodziców.

Ciocia wyszła, a Lusia i Włodzio, ukrywszy buzie w rączkach cicho płakali.

Po kilku chwilach uspokoili się, a siadłszy na małych stołeczkach, zaczęli rozmawiać z żywością; a o czem?... to pewnie kochani czytelnicy sami odgadną z łatwością.

Kazimiera.

WIELKIE ZDOLNOŚCI,

POWIASTKA Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

przez Z. Morawską.

I.

— Mój Stasiu, skończyłeś dziś lat dziewięć — rzekł ojciec do swego jedynaka — Pan Bóg dał ci zdolności, trzeba więc, żebyś się bardzo pilnie brał do nauki. Od wakacyj bowiem musisz iść do pierwszej klasy.

Staś pocałował ojca w rękę i powiedział, że zda egzamin, chociażby nawet do drugieję.

— Zdaj tylko do pierwszej, więcej nie wymagam — rzekł ojciec, a potem dodał:

— Na wakacye pojedziemy na wieś, do wujaszka, będziesz mógł tam używać wszelkich przyjemności, ale pamiętaj, chłopcze, żebyś mi za powrotem wstydu nie zrobił i zdał egzamin, jak należy.

— Ale niech się ojczulek nie boi! ja tak wszystko doskonale umiem, że choćby mnie kto w nocy obudził, tobym recytował, jak pacierz.

No, no, nie chwal się tak bardzo, bo wczoraj słyszałem, że arytmetyka szła kulawo.

— Ale bo widzi tatunio, pan S. tak jakoś dziwnie zapytał, zem nie mógł odrazu zrozumieć, a zresztą arytmetyki nie lubię.

— Już to tam w szkołach pytać cię nie będą, co ty lubisz a czego nie lubisz, tylko wszystkiego uczyć się trzeba, inaczej źle będzie z tobą, mój chłopcze.

— Ja się nie boję; a czegobym nie umiał, to się jeszcze przez wakacye douczę. Przecież ojczulek wie, że mam wielkie zdolności.

— Wiem, mój synu, i dlatego pragnąłbym, żebyś tych zdolności nie zmarnował.

— No, nol — odpowiedział chłopiec z pewną zarozumiałością.

Staś rzeczywiście miał wielkie zdolności, był sprytny, co tylko przeczytał lub usłyszał, mógł zaraz prawie na pamięć powtórzyć, a czego nie spamiętał, to własną fantazyą dopełnił. Często nawet zdawało mu się, że gdyby to wydrukowali, co on powie lub napisze, to byłoby daleko piękniejsze od tego, co czyta w książkach.

Chwalono go, gdy mówił wiersze lub opowiadał to, co przeczytał; udało mu się robić niezłe wypracowania, umiał nawet niezłe list napisać, nie robił wiele błędów ortograficznych, pisał też dosyć starannie, tak mu się więc przewróciło w głowie, że raz nawet opisał jakies zdarzenie i posłał do „Wieczorów Rodziny”. Odtąd, jak tylko przynosili Wieczory, zaraz szukał odpowiedzi dla siebie; pewny zaś był, że jego utwór będzie przyjęty i zyska ogólną pochwałę. Z bijącym sercem brał więc każdy numer do ręki, a nie znajdując przez kilka tygodni odpowiedzi dla Orła królewskiego, bo taki wybrał pseudonym, rzucał niechętnie ulubione dotąd Pismo i nie czytał go wcale. Nareszcie wyczytał:

— „Dziesięcioletni Orzeł królewski niech się uczy pilnie, pracuje, może kiedyś będzie mógł spożytkować swoją pracę, dziewięcioletnie dzieci, choćby najzdolniejsze, powinny się uczyć, a nie myśleć o drukowaniu swoich artykułów.” Jeszcze z większą niechęcią odrzucił numer, który mu przyniósł taką odpowiedź, obraził się na „Wieczory”, nie czytywał ich odtąd wcale, i prosił rodziców, żeby mu inne pismo zaprenumerowali.

Rodzice, chcąc synkowi dogodzić, a myśląc przytem, że Staś taką ma chęć do czytania, zaprenumerowali „Przyjaciela dzieci”.

Staś wkrótce znów napisał jakąś powieść, i jak mu się zdawało, ta była już tak doskonałą, że z pewnością nietylko wydrukowaną zostanie, ale jeszcze ogólną zyska pochwałę. I znów zaczęło się to samo, że Staś szukał w każdym numerze odpowiedzi dla Stanisława, bo już swoim własnym imieniem się podpisał.

I znowu po kilku tygodniach brzmiała odpowiedź w „Przyjacielu dzieci”.

„Stanisławowi radzimy, aby nauczył się najpierw porządnie litery stawiać, ortograficznie pisać, do nauk wykładanych przykładać się z ochotą, to może kiedyś będzie mógł pisywać powieści. Dzieci powinny się uczyć. Artykułu nadesłanego drukować nie będziemy”.

Odpowiedź ta poróżniła go znów z „Przyjaciелеm Dzieci” rzucił numer, który mu taką prawdę wypowiedział i tak samo jak „Wieczorów” nigdy już „Przyjaciela” nie wziął do ręki. Zato chwycił Kuryer i gazety, pisane dla starszych, czytał, czy rozumiał czy nie rozumiał, a że w onym czasie wychodziła słynna powieść Sienkiewicza pod tytułem: Ogniem i mieczem, czytał ją chciwie nie rozumiejąc o co chodzi, ale czytał; czasem popisywał się z opowiadaniem jakiegoś ustępu, a nawet powiedział sobie, że i on taką powieść napisze. Kto wie, może i lepszą! Byłby nawet zaczął już pisać, tylko mu nauczyciel ciągle przeszkadzał gramatyką, arytmetyką, ba, nawet kaligrafią i katechizmem.

— Ciekawym bardzo poco się to tego wszystkiego uczyć? czy to w powieściach mówią o tem, albo ktoś uczony dodaje na tablicy, albo odmienia rzeczowniki i słowa? — mówił sobie Staś i coraz niechętniej brał się do nauki, a pan S. coraz więcej skarżył się na niego, powtarzając:

— Mój Stasiu, jeżeli tak dalej pójdzie, i nic się uczyć nie będziesz, to mimo twoich rzeczywistych zdolności, nie zdasz egzaminu i na zawsze pozostaniesz nieukiem.

Łamigłówka kryształowa.

(Od Gosposi z nad Warty dla Gołąbki pocztowej).

1. Samogłoska.
2. Utwór poetyczny.
3. Budynki pozytywne.
4.
5. Imię wschodnie.
6. Zwierz drapieżny.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko poety.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 32 go.

Szarady:

San — na.

Skrzynka do listów.

Konwalijka różowa już po rozstrzygnięciu konkursu nadesłała odpowiedź, dlategoż wzmianki o tem nie było w sprawozdaniu.

Gama Cdur wielką nam sprawiła przyjemność przysłaniem fotografii, jest to dla nas dar najmiłszy. Niech tam Gama kocha-

na pozdrowi od nas turnie tatrzańskie, gdy wyrżą na świat, bo często pewnie w tym roku toną w gęstych chmurach.

Wiosna ślicznie robi, że w chwilach wolnych o konkursie wakacyjnym pamięta, najskromniejsza praca ubogim się przyda, a Wiośnie kochanej zadowolenie wewnętrzne przyniesie. Termin bywa oznaczony podług nowego stylu.

Jagódka i Kotek z Podola poczciwie mają serduszka, oby Bóg błogosławił te dzieci kochane, jak je błogosławią ubodzy za hojne dary.

Kanarka prosimy o wyjaśnienie, dlaczego w szaradzie powiada o pewnym pokarmie, że „w północnych krajach tylko jest nieznany”? Nigdy nie słyszeliśmy o tem, aby mieszkańcy północy *wyłącznie* przysmaku tego byli pozbawieni.

P. Ioanna Herz numer 1 z r. 1885 „Przyjaciela Dzieci” wyzerpany kop. 25 zapisaliśmy na rachunek sz. Pani.

Hr. Szem. w Krakowie rs. 5 policzyliśmy na całoroczną prenumeratę Wieczorów R. rs. 1 pozostaje u nas do dalszego rozporządzenia.

P. Zwierk. w Różnicy nie znaleźliśmy w liście marek pocztowych odebraliśmy tylko rs. 2.

P. Zawadzki w Udryczach na prenumeratę II półroczna r. b. złożono nam rs. 2 należy nam się jeszcze kop. 50.

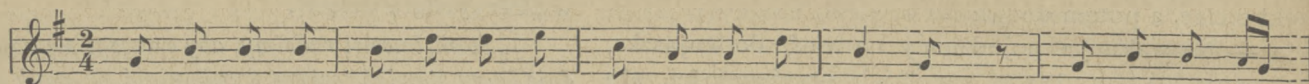
Moja droga Praco! Nie możesz sobie wyobrazić, jaką mi sprawiła przyjemność przysłaniem łamigłówki; chciałam ci się w ten sam sposób odwdziżyć ale, usiłowania moje były daremne. Więc przyjmij najserdeczniejsze podziękowania od szczerze cię kochającej Cyganecki z nad Wisły.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

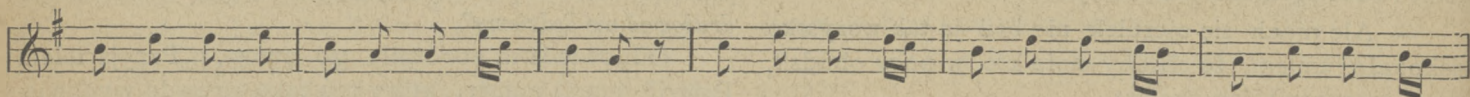
Julek i Lunia kop. 33. — I. S. kop. 5. — Lis z Mazowsza zebrane z loteryi fantowej rs. 4 kop. 60.

Ubrania dla biednych dzieci: Helcia, Zosia, i Marysia S.

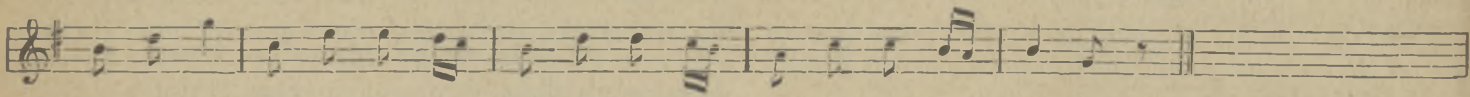
Myszka.



Ach ta nor - ka tak nu - żą - ca, Smu - tno wciąż w cie - mnościach żyć; Na - po - dwór - ku



tam blask słoń - ca, Tam we - soło mu - si być. Jam ko - te - czek bia - ly gład - ki, Ze mną i - grać mysz -



ko, chódz, Prę - dzęj idź, nie py - taj mat - ki, Z kot - kiem i - grać mysz - ko chodź! [Trzecia strofka tak jak pierwsza].

Dzieci z pomiędzy siebie obierają myszkę, starą młodą i kota; reszta dzieci tworzy koło, czyli norkę myszki.

W kole siedzi stara mysz, a młoda biega w kole i niekiedy wysuwa główkę poza koło i śpiewa:

Achl ta norka tak nużąca,
Smutno wciąż w ciemności żyć;
Na podwórzu tam blask słońca,
Tam wesolo musi być.

Na głos myszki wychodzi z kąta kot, idzie wolno i pocichu, przygląda się myszce i śpiewa:

Jam koteczek biały, gładki,
Ze mną igrać myszko, chodź;

Prędzej idź, nie pytaj matki,
Z kotkiem igrać chodźno chodź.

Stara mysz wtedy zwraca się do młodej i śpiewa:

Ej, posłuchaj matki rad,
I od kotka łapek stroń;
Bo jak złapie, cap-carap,

Zginiesz, myszko, więc się broń.

Myszka tymczasem wysuwa się, a kot ją goni dopóki nie złapie.

M. Weryho.